

B R I A N N A
L A B U S K E S
STRAŻNICZKA
SPALONYCH
KSIĄŻEK

Przełożyła
Urszula Wilczyńska

Powieść *Strażniczka spalonych książek* jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *The Librarian of Burned Books*

Copyright © 2023 by Brianna Labuskes
All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3609-3

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 60 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

NOWY JORK

Listopad 1943

Telegram, w którym z żalem informowano Vivian Childs o tym, że jej mąż poległ w walce, dotarł wcześniej niż jego ostatni list.

Kiedy dwa tygodnie po tym, jak sierżant o zaokrąglonej twarzy zapukał do jej drzwi, Viv znów zobaczyła znajome pismo na kopercie, poczuła, że nogi się pod nią ugięły. Z łoskotem upadła na marmurową posadzkę w wejściu i nawet nie poczuła bólu.

Edward.

Przez jedną pełną rozpaczny chwilę Viv pomyślała, że może tamten straszny telegram był pomyłką.

Ale nie, to niemożliwe. Oto był duch, słowa zmarłego, który jeszcze nie wiedział, jak się potoczy jego los.

Viv czuła, jak wali jej serce, pulsując boleśnie w nadgarstkach i w gardle. Czas mijał, a tykanie zegara po dziadku zgrywało się w jeden rytm z pulsowaniem w jej skroniach. Zniknęło to pocieszające odrętwienie chroniące ją przez minione dwa tygodnie i cały ból, nad którym do tej pory panowała, wdarł się w każdą wolną przestrzeń jej ciała.

Poczuła wręcz ulgę, gdy uderzyła dłonią w kant stolika, sięgając po leżący nad nią list. Ten rodzaj bólu rozumiała.

Wpatrywała się w jego imię i nazwisko na kopercie, dotknęła jej delikatnie, po czym wsunęła paznokcie pod róg koperty.

Moja droga Viv!

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem Ci wdzięczny za Twoje listy. Proszę, nie przestawaj mi ich przysyłać – nowinek dotyczących zabawnego sporu z panią Croft i tych o jej zarozumiałym pudlu. Wszyscy żołnierze z tą samą ciekawością co ja wyczekują, co wyniknie z draki z niebieską farbą.

Ludziom wydaje się, że na wojnie nie jest nudno, a jednak nie ma tu nic poza monotonią, piaskiem, a potem chwilami grozy sprawiającymi, że człowiek się trzęsie przez wiele godzin, aż to uczucie ustąpi, i pozostaje znów tylko monotonia. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką rozrywką są dla nas Twoje opowieści.

À propos opowiadań, dzięki Bogu, zapowiada się trochę wytchnienia. Wojsko zainicjowało wspólną akcję – przysyłają nam, biednym, znudzonym chłopakom, niewielkie, podręczne książki, które zapewnią nam rozrywkę i oderwą nas od myślenia o tych wszystkich bombach lądujących wokół nas.

Wybacz moją oschłość. Ale naprawdę te książki są dla nas wybawieniem. Udało mi się dorwać egzemplarz *Oliwera Twista*, co też przypomina mi o Hale'u. Mój brat jest zbyt dumny, żeby przyjąć wsparcie, które uznałby za jałmużnę z mojej strony, ale bardzo żałuję, że nie wiedziałem, jak mu bardziej pomóc, gdy byliśmy dziećmi. Kiedy pomyślę o tym, jak mu ciężko, podczas gdy ja mam tak wiele... Och, poczucie winy nie daje spać, czyż nie? Wojna jest w tym dobra – pomaga przypomnieć sobie o wszystkim, co pragnęłoby się zrobić w życiu inaczej.

Wiem, że mój list wypada bardzo błado w porównaniu z Twoimi żywiołowymi opisami, ale proszę, nie karz mnie za brak opowieści z mojej strony, skracając swoje relacje. Pozdrów ode mnie Mamę.

Cały Twój,

Edward

Viv zignorowała wzmiankę Edwarda na temat jego brata Hale'a bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Migawki tych gorących nocy, lepkich od waty cukrowej ust, kuszącego uśmiechu i zgrubiałych dłoni pojawiały się i znikwały jak błyskawice rozcinające czarne niebo jej żalu.

Po co myśleć o czymś, czego nigdy nie będzie można mieć?

Zamiast tego przeczytała list jeszcze raz i po raz pierwszy od dwóch tygodni zobaczyła oczami wyobraźni Edwarda. Za każdym razem, gdy próbowała to wcześniej zrobić, była w stanie widzieć tylko posiniaczone i poranione ciało, otwarte rany i krew, spaloną ziemię i płomienie. Teraz wyobraziła go sobie przy ognisku, ale takim miłym, w środku nocy, w otoczeniu towarzyszy broni. Tulił w ramionach książkę, cytując innym swoje ulubione fragmenty i słuchając ich, gdy oni robili to samo.

Kurczowo chwyciła się tego obrazu, grzejąc się w jego kojącym cieple.

Po przeczytaniu listu podniosła rękę do twarzy i poczuła, jak kąciki jej ust unoszą się w pierwszym uśmiechu, na jaki sobie pozwoliła od śmierci Edwarda.

I

NOWY JORK

Maj 1944

Viv przycisnęła plecy do ceglanego muru w alejce, z uwagą obserwując tylne wejście najbardziej szykownej restauracji serwującej steki na Manhattanie, a jednocześnie przyglądając się ciekawskiemu szczeniowi, który z każdą chwilą stawał się śmielszy.

Doszła do wniosku, że jej eskapada jest nie tyle intrygująca, ile mocno ryzykowna, i zaczynała się zastanawiać, czy aby jej plan nie zawierał błędu u podstaw. Kiedy rozważała, czy się jednak nie wycofać, pojawił się pomywacz, na którego czekała, by go przepuścić. Zakręciło jej się lekko w głowie zarówno z ekscytacji, jak i przerażenia, gdy wsuwała w dłoń chłopaka zwinięty banknot.

Gdy weszła do restauracyjnej kuchni, smród starej kapusty zniknął. Wróciła jej pewność siebie i Viv przywdziała na twarz maskę *femme fatale*, do czego przygotowywała się cały poranek z myślą o tym szalonym planie. Nawet się odpowiednio ubrała do tej roli – w czarną spódnicę i odpowiadające kolorem podwiązki oraz stylowe pończochy ze szwem opinające łydki. Upięła włosy w idealne *victory rolls*, na co zwykle nie miała czasu, a także starannie nałożyła wiśniową szminkę, której odcień w zasadzie powinien się gryźć z rudawym odcieniem jej blond włosów, a jednak wcale tak nie było.

Przechodziła pomiędzy piecami kuchennymi i stojącymi przy nich gęsto przeklinającymi mężczyznami, a dym z pieców wił się

i snuł wokół niej, jakby szła przez doki w zamglony poranek zaraz po tym, jak zamordowała kochanka. Na samą myśl o tym zakochała biodrami i wyprostowała ramiona.

To uczucie pewności było ważne. Dodawało jej siłę, pomagało zapanować nad drżeniem rąk.

Ponieważ Viv miała tylko jedną szansę i nie mogła jej zmarnować.

Senator Robert Taft wracał rano do Waszyngtonu i do tej pory nie był zbyt skory, by odpisywać na jej listy. Musiała zatem skonfrontować się z nim osobiście, i to dzisiaj.

Kiedy weszła do sali restauracyjnej, bez trudu dostrzegła Tafta. Zanim poznała go kilka miesięcy temu, wyobrażała go sobie jako niewysokiego mężczyznę o skulonej sylwetce. Wyobrażała sobie jego podłe spojrzenie i ściągnięte rysy. Ledwie zarysowaną szczękę. Marne uosobienie jego żalostnej osobowości.

W rzeczywistości przewyższał wzrostem pozostałe osoby siedzące z nim przy stoliku, w jego ogolonej głowie odbijało się światło świecy. Dominował w przestrzeni tak, jak w naturalny sposób robią to ludzie mający władzę. Ramieniem obejmował oparcie okrągłej łóżki, którą zajmował.

Jednak co do szczęki Viv miała rację.

I co do osobowości też.

Ochroniarz zatrzymał Viv, zanim zdołała dotrzeć do grupy. Wyłonił się gdzieś zza kotary otaczającej łóżkę – niebezpieczny cień, którego obecność powinna była przewidzieć. I tak naprawdę przewidziała. Spodziewała się jednak, że będzie siedział gdzieś przy wejściu, skierowany w tę stronę, z której mógłby jej wyczekiwać.

W końcu Viv była przez ostatnie pół roku solą w oku Tafta. Chciał uniknąć tej rozmowy tak bardzo, jak ona pragnęła do niej doprowadzić. Stąd ta kuchnia, pomywacz i łapówka.

– Senatorze, czy mógłby mi pan poświęcić chwilę? – zawołała, stawiając wszystko na jedną kartę.

Rozmowa przy stoliku ucichła i wszyscy zamarli. Dziwny to moment dziejowy, gdy jest się politykiem wysyłającym na śmierć mężczyzn ze swojej ojczyzny, a samemu bawi się na obiadach, racząc się stekami i whiskey na koszt podatników.

Palce Tafta zabębniły nierówno na ekskluzywnym skórzanym obiciu oparcia, gdzie trzymał rękę. Zapewne rozważał, jaką scenę Viv może mu zrobić. Nie był przecież jedynym klientem restauracji i musiał dbać o swój wizerunek.

Viv zdążyła nawet kątem oka zauważyć dziennikarza „New York Post”, z którym wcześniej pracowała. Jako dyrektor do spraw promocji w The Council on Books in Wartime, specjalnej radzie zajmującej się popularyzacją książek w czasie wojny, znała wielu dziennikarzy w mieście. Mężczyzna uniósł kieliszek oraz brwi w pozdrowieniu i sprawiał wrażenie tak rozbawionego tą sytuacją, że już na pewno obmyślał, jak to anonimowo opisać w rubryce towarzyskiej.

Gest ten nie uszedł uwagi Tafta, bo jego usta zacisnęły się w wąską linię, gdy spojrzął na dziennikarza. Zaraz potem skinieniem przywołał Viv, by usiadła przy ich stoliku. Pozostali mężczyźni przesunęli się, żeby weszła do łóż – znacznie bliżej senatora, niżby sobie tego życzyła.

– Pani Childs – rzekł Taft z westchnieniem, jakby była niegrzecznym dzieckiem wezwanym przed oblicze dyrektora szkoły. – W czym mogę pani pomóc?

Viv niemalże się roześmiała. Jakby nie wiedział, po co tu przyszła.

Bez słowa odpowiedzi sięgnęła do torebki i wyjęła cienkie książki, które były sednem jej krucjaty przeciwko temu człowiekowi. Rzuciła jedną na stół przed nim.

– *Przygody Hucka Finna* – powiedziała, nie spuszczając wzroku z jego oczu.

Zastanawiała się, czy on w ogóle kiedykolwiek widział broszurowe wydania książek w ramach programu Armed Services

Editions. Wysyłała mu pocztą kolejne egzemplarze, ale jego sekretarka – ta sama, która podpowiedziała jej miejsce i czas tego lunchu – dała jej znać, że wszelkie wiadomości od Viv albo z rady były natychmiast przekazywane na makulaturę. I to pewnie tylko dlatego, że taki był obowiązek, bo w przeciwnym razie najprawdopodobniej wylądowałyby w ogniu. Rzuciła na stół kolejną książkę, mówiąc:

– *Grona gniewu.*

– Pani Childs, nie wiem, co chce pani osiągnąć tym pokazem, ale proszę pozwolić, że zapewnię panią, iż...

Ona jednak już się nakręciła.

– *Kandyd. Yankee from Olympus. Zew krwi.*

Wymieniając tytuł, ciskała na stół kolejną zieloną książeczkę. – Wszystkie te książki zostaną wycofane z programu Armed Services Editions w wyniku pańskiej nowelizacji cenzurującej wysyłki – oświadczyła Viv, prostując się i zakładając ręce na piersi, by choć trochę zapanować nad żywiołowym, gwałtownym przypływem gniewu. – Czy mam wymieniać dalej? Jest ich mnóstwo.

– To nie jest cenzura, pani Child – odparł Taft pełnym wyższości tonem sprawiającym, że Viv mocniej zacisnęła zęby. – Oczekuję jedynie, żeby pani niewielka rada nie wykorzystywała pieniędzy podatników na wysyłanie naszym wojskom książek autorów nawet zbyt niekryjących z polityczną propagandą. – Wsunął między wargi wykałaczkę i przesuwał ją z jednej strony na drugą. – Są setki dobrze napisanych, przyjemnych książek, które nie dotyczą politycznych tematów. Może pani spośród nich śmiało wybierać propozycje do programu ASE.

– Sformułowanie tej ustawy jest zbyt ogólne. – Viv modliła się w duchu, żeby nie zwrócił uwagi na lekkie drżenie jej głosu. W jakiejś mierze docierało do niej, że brała to wszystko za bardzo

osobiście, jakby ASE i ostatni list Edwarda były ze sobą nierozdzielnie związane. Ale nie mogła pozwolić, żeby Taft traktował ją jak histeryczkę, jak wojenną wdowę opłakującą męża w kraju pełnym takich samych wdów. – Jeśli naprawdę przygotował pan tę nowelizację w dobrej wierze, należy zmienić jej treść. Teraz zakaz paraliżuje nasze działania w ramach ASE.

Oboje wiedzieli, że działanie w dobrej wierze nigdy tak naprawdę nie miało dla niego znaczenia. Jego głównym celem było zawsze wymierzenie ciosu w radę tak, żeby nie wyglądało to na uderzenie w nią.

Mimo to musiała spróbować.

– Kwestia ta została przedyskutowana przez Kongres Stanów Zjednoczonych i decyzja już zapadła. To jest prawnie wiążące, droga pani – powiedział, a ona usłyszała między jego słowami „przegrała”. – Myśli pani, że jest mądrzejsza od Senatu?

Viv miała ochotę mu wytknąć, że groził politycznie wszystkim parlamentarzystom, którzy próbowali mu się sprzeciwić w tej kwestii. Ale ten argument do niczego by nie doprowadził. Widać było wyraźnie, że jest dumny ze swojej pokrętej taktyki.

– To sformułowanie jest zbyt ogólne – powtórzyła, próbując sobie przypomnieć scenariusz tyle razy ćwiczony zeszłego wieczoru, a teraz bała się, że język za moment odmówi jej posłuszeństwa. Wskazała gestem na przyniesione książki. – Niech mi pan spojrzy prosto w oczy i powie, czy któraś z nich rzeczywiście zawiera propagandę. – Kiedy nie odpowiadał, naciskała dalej. – Według pana wytycznych armia musiałaby zakazać nawet własnego podręcznika szkoleniowego, ponieważ zawiera zdjęcie prezydenta Roosevelta. Czy to komukolwiek służy?

– Sformułowania muszą być ogólne, bo inaczej ludzie szukaliby luk prawnych – odparł Taft. – Możliwe, że część nieszkodliwych książek zaliczy się do tej kategorii, ale to cena, jaką musimy

zapłacić. Jeśli miałyby pani pojęcie na temat procesów legislacyjnych czy też ustawodawstwa, wiedziałaby pani o tym. Pani jednak nie ma pojęcia. A teraz pani wybacz.

– Ale to nie tylko te przykłady – powiedziała rozpaczliwie Viv. – Chodzi o większość pozycji z naszej listy.

– Cóż, zatem widzi pani, dlaczego zaproponowana przeze mnie nowelizacja była konieczna – oświadczył Taft, uśmiechając się tak szeroko, że wokół oczu zarysowały się mu zmarszczki. Wyobraziła go sobie podczas kampanii i zastanawiała się, czy ludzie rzeczywiście dawali się nabrać na ten wizerunek. – Najwyraźniej widać, że pani radzie przydałyby się odpowiednie wskazówki dotyczące tego, jakie książki są właściwą lekturą dla naszych żołnierzy.

Viv zamrugała szybciej kilka razy.

– Żołnierze, którzy za nas umierają... Czy naprawdę trzeba im dyktować, co mają czytać?

Czując, że wykonał fałszywy krok, Taft starał się zyskać na czasie, więc podniósł serwetkę i wytarł podbródek.

– Cóż, mimo wszystko chronię podatników niemających ochoty, by ich pieniądze szły na propagandę wspieraną przez dyktatora, który chciałby wygrać czwartą kadencję.

Od tego właśnie wszystko się zaczęło. Taft odczuwał głęboką i nieustępliwą nienawiść do prezydenta Roosevelta i nie była to żadna tajemnica. Roosevelt był jednak tak popularny, że Taft musiał być ostrożny, kiedy go atakował. A prezydent okazał się otwartym zwolennikiem zarówno The Council on Books in Wartime, jak i cieszącej się ogromnym powodzeniem inicjatywy Armed Services Editions, dzięki której każdego miesiąca wysyłano miliony książek żołnierzom służącym za oceanem. Program ASE stał się tak popularny, że Taft wiedział, iż Roosevelt wykorzysta go podczas swojej kampanii najbliższej jesieni. Dzięki przepisom cenzurującym, zasadniczo wykluczającym dziewięćdziesiąt procent

książek, jakie rada chciała posłać żołnierzom, Taft wiązał ręce tej inicjatywie tak bardzo, że traciła znaczenie.

– O tak, wiem, że dba pan o budżet – zauważyła Viv, a jej słowa tchnęły chłodem, gdy omiotła wzrokiem resztki posiłku, który mógłby zapewnić finansowanie rady na miesiąc.

Taft naskoczył na nią, a jego palce wbiły się w jej nadgarstek. Jutro będzie miała siniaki.

– Wykazałem się cierpliwością wobec sceny, jaką tu pani odegrała, młoda damo – wycedził, przypierając ją w głąb łoży swoją masywną sylwetką. – Ale przypominam, że rozmawia pani z senatorem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

W tej sytuacji Viv nie mogła dać za wygraną.

– Zaprzeczy pan? Że to nic innego, jak próba zniszczenia rady i uderzenie w Roosevelta?

– Nie muszę niczemu zaprzeczać wobec pani – odparł Taft, uszczypliwie akcentując ostatnie słowo. Była dla niego niczym mucha do przegonienia machnięciem ręki.

I może rzeczywiście Viv – kobieta, której życiowe doświadczenie jeszcze pół roku temu nie wykaczało poza organizację przyjęć dobroczynnych wspierających sprzedaż obligacji wojennych zamożnym znajomym – była nikim w wielkim porządku rzeczy, tej wojny i polityki.

W tamtym momencie, gdy Taft wisiał nad nią, niewątpliwie przekonany o tym, że może ją zastraszyć, tak jak zastraszał wszystkich wokół siebie, posuwając się do wybuchów wściekłości i przemocy, postanowiła, że to jest dla niej sprawa, za którą warto umrzeć.

Może nie tyle wielka sprawa, ile jej sprawa.

– Żołnierze mają przy sobie te książki, gdy idą do walki – powiedziała najłagodniej, jak umiała, żeby zrobiło to tym większe wrażenie. Nie starała się wyrwać z jego uścisku. Może wyczuje jej równy puls, dowód jej pewności. – Pewien mężczyzna przesłał

mi w ubiegłym tygodniu egzemplarz *Przygód Tomka Sawyera* ze śladami krwi. Chciał w ten sposób wyrazić swoje podziękowanie. Jego kolega dzięki tej książce uśmieł się serdecznie wieczorem w przeddzień śmierci.

Odczekała chwilę, by jej słowa lepiej wybrzmiały, a potem podjęła:

– To była książka, której by nie dostał, jeśli pańskie przepisy cenzurujące zostały wprowadzone w życie kilka miesięcy temu.

Gdyby nie przyglądała mu się z bliska, nie zauważyłaby, jak grdyka Tafta drgnęła, kiedy ten z trudem przełknął ślinę. I przez ten jeden bolesny moment pomyślała, że może udało jej się do niego dotrzeć. Zaraz się jednak cofnął, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął kilka banknotów.

Rzucił je na książki, które przyniosła w ramach wyrzutu.

– Idź, kup sobie coś miłego, kochaniutka. A ważne sprawy zostaw mężczyznom.

Następnie wstał, dał znak swoim kompanom czekającym w pogotowiu i wyszedł, ani razu się za siebie nie oglądając.

2

BERLIN

Grudzień 1932

Łańcuchy świateł rozwieszane pomiędzy budkami jarmarku bożonarodzeniowego zlewały się w jedno z gwiazdami. Mróz szczypał Altheę James w oczy. Wokół niej mieszały się odgłosy śmiechów i ulicznego gwaru panującego na zwykle cichym placu położonym kilka przecznic od znacznie bardziej ruchliwego Potsdamer Platz.

Jarmark tętnił życiem i świąteczną radością pomimo tego, co Althea słyszała o gospodarczej niepewności, jaka prześladowała Niemcy jeszcze długo po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Przygarbione babuszki targowały się o bibeloty i prażone orzeszki ze sprzedawcami, a obie strony ukrywały radość za poważnym spojrzeniem, żeby przypadkiem ich nie oszukano. Dzieci chichotały i biegały w tłumie, pary spacerowały pod rękę, gdzieś nieopodal jakaś kapela grała skoczne piosenki, a głosy wędrownych śpiewaków wybrzmiewały w powietrzu, sprawiając, że wszystko wokół pulsowało życiem i migotało.

Berlin miał w sobie magię i Althea była nim zachwycona, urzeczona, wręcz oczarowana. Po raz kolejny przyłapała się na tym, że – jak często robiła, odkąd przyjechała do miasta w ubiegłym tygodniu – z notatnikiem w dłoni rozpaczliwie próbuje uchwycić tę scenę, która była znacznie większa i bardziej przytłaczająca niż

cokolwiek, czego doświadczyła w swoim spokojnym życiu, gdy dorastała w wiejskim Maine.

Profesor Diedrich Müller, jej opiekun z ramienia Uniwersytetu Humboldta, obserwował ją z pewną dozą sympatii, widoczną w szerokim uśmiechu, co sprawiło, że Althea spuściła głowę i schowała notatnik do kieszeni zimowego płaszcza.

– Nie, proszę sobie nie przeszkadzać ze względu na mnie. Z radością obserwowałem znaną pisarkę podczas pracy – zapewnił Diedrich z taką prostotą, jakby nawykł do oprowadzania nietypowych towarzysko ludzi.

Tydzień temu, kiedy zeszła na ląd w porcie w Rostocku po długiej podróży z Nowego Jorku, o mało nie przewróciła się na jego widok. Została poinformowana, że gdy dotrze do Niemiec, będzie na nią czekał profesor literatury, ale wyobrażała sobie starszego pana ze słabością do tweedowych marynarek i ezoterycznej poezji, a nie przypominającego wyglądem gwiazdę filmową, emanującego naturalnym urokiem oślniewającego Diedricha Müllera o miodowych włosach i śnieżnobłękitnych oczach.

Nawet jego głos był powabny, miał akcent, który przywoływał obrazy gotyckich zamków wznoszących się ponad ogromnymi sosnami i opowieści o wielkich złych wilkach pożerających małe dziewczynki jednym kłapięciem zębów.

Gdyby kiedykolwiek chciała go umieścić w którejś ze swoich powieści, redaktor na pewno uznałby go za zbyt idealnego, zbyt nierealnego.

– To nic takiego – zaoponowała, wciąż nie mogąc się przyzwyczaić, że ktoś na nią patrzy, jakby miała coś interesującego do powiedzenia. Zanim jej debiutancka powieść przyciągnęła uwagę świata w tak nieoczekiwany sposób, jedyną osobą, z którą regularnie rozmawiała, był jej brat Joe. Ale on był rodziną, więc nie miał wyboru. – Takie tam gryzmoły.

– Hm, mam nadzieję, że zamierzasz włączyć te „gryzmoły” i inne opisy naszego wspaniałego miasta do swojej kolejnej książki.

– Oczywiście.

Althea domyślała się, że to był jeden z powodów zaproszenia jej do Niemiec – ukazać ten kraj w pozytywnym świetle.

Nie wspomniała nic o tym, że najwidoczniej utraciła swoją zdolność pisania, odkąd została wyciągnięta z zapomnienia na skutek zrzędzenia losu. Za każdym razem, gdy próbowała pisać, puste kartki z niej drwiły. Jak powtórzyć tamten nieoczekiwany sukces?

Nawet te zeszyty wypełniane przez nią notatkami, odkąd przybyła do Berlina, były pełne pustych słów, tak naprawdę niedorównujących temu, co widziała.

– Nie ma nic piękniejszego niż Berlin zimą – podjął Diedrich, podając jej kubek parującego grzanego wina, o który się dla niej postarał. – Może poza damą umiejącą docenić jego splendor.

Althea próbowała powstrzymać rumieniec, zastanawiając się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do jego flirtowania.

– Tylko może?

Białe zęby błysnęły w szczerym rozbawieniu.

„Jakie masz szerokie usta”. Czyżbym jednak była Czerwonym Kapturkiem?

Diedrich nachylił się bliżej, tak że jego usta muskały płatek jej ucha.

– To zależy od damy.

Althea przegrała walkę z rumieńcem, który oblał jej twarz i szyję. Przecież chyba nie chodziło mu o nią, to niemożliwe.

Nie miała złudzeń co do swojej urody. Nie uważała się za osobę odrażającą, ale była typem kobiety zwykle chwalonej raczej za intelekt niż za wygląd. Wszystko było w niej przeciętne, począwszy od miłej, niezapadającej w pamięć twarzy i nieszczególnych oczu,

po rozsiane tu i tam piegi, które uważano za urocze, gdy była mała, a które teraz wywoływały nieproszone rady na temat pudru do twarzy.

Naprawdę starała się dziś wieczorem sprostać temu wyobrażeniu, jakie na pewno miał na temat wyrafinowanej autorki światowej sławy, jaką teoretycznie była. Niewiele była w stanie zrobić z gęstą burzą włosów, najwyraźniej nigdy nietrzymających się tak, jak je ułożyła, ale dzień wcześniej odwiedziła butik – jeden z tych sklepów, gdzie bała się czegokolwiek dotykać – i kupiła sukienkę, której styl nie przypominał mody sprzed dwudziestu lat.

Uśmiech Diedricha stał się bardziej zmysłowy, gdy tylko mężczyzna ją ujrzał, co potwierdziło, że podjęte przez nią ryzyko było warte swej ceny.

Kiedy Althea skończyła wino, Diedrich podał jej słodki wypiek.

– Moja droga, musi pani spróbować wszystkiego, co ma do zaoferowania nasza kultura.

– Czy ta lista obejmuje również pana, profesorze Müller? – zapytała Althea, zdając sobie sprawę, że jej policzki na pewno są niewiarygodnie zaróżowione. Miała tylko nadzieję, że Diedrich uzna to za efekt mrozu.

– Panno James – mruknął, a w jego głosie słychać było pełne zadowolenia połajanie, które znała tylko pośrednio z tych wieczorów, gdy przesiadywała w najdalszym kącie pubu jej brata. Tak właśnie mówili mężczyźni interesujący się konkretną kobietą.

Tak jak to często czyniła, gdy czuła się speszona, Althea próbowała wyobrazić sobie, że wcale nie przeżywa tej sceny, tylko ją opisuje. Co by zrobiła, gdyby była główną bohaterką, a nie biedną przyjaciółką umieszczoną tam tylko dla kontrastu? Gdyby była Lizzy Bennet zamiast Charlotte Collins?

Althea zebrała się w sobie na odwagę i wysunęła się o pół kroku przed Diedricha – wystarczająco, żeby obrócić się za siebie

z zalotnym uśmiechem – a potem ruszyła szybciej niż ich spacerowy krok, dając mu w ten sposób zawołany sygnał.

„Złap mnie, jeśli dasz radę”.

Odchodząc od swojego opiekuna, Althea pomyślała, że może stracić orientację, że będzie przytłoczona. Oderwanie się od towarzysza pośrodku tłumu mogłoby sprawić, że zakręci się jej w głowie i zrobi jej się niedobrze. Szczególnie tu, w mieście, którego nie знаła i którego językiem umiała się posługiwać jedynie na podstawowym poziomie.

Ale było coś w tym jarmarku – te ocierające się o siebie ramiona, twarze zwrócone z nieobecny półuśmiechem, dzieci ciągnące ją za kraj płaszcza. Althea wcale nie miała wrażenia, jakby porwała ją niekontrolowana i przerażająca lawina, ale raczej jakby była pojedynczym płatkiem śniegu w zamieci znacznie większej niż ona sama.

Tak właśnie się czuła, odkąd wysiadła z pociągu w Berlinie.

Przed tą podróżą tylko raz w życiu wyjechała z Owls Head i tylko po to, żeby spotkać się z redaktorem w Nowym Jorku w dniu premiery swojej książki. Myśl o tym, że miałyby pojechać sama do innego kraju, była przerażająca. Niejeden raz rozpakowywała z powrotem walizki.

Sama sobie zadawała pytanie: co najgorszego może się przydarzyć?

„Możesz umrzeć”, odpowiadał jej szeptem strach.

A co najlepszego?

„Możesz żyć”.

Wtedy Althea na nowo się spakowała i opuściła swój domek na klifie.

Zawsze się czuła bezpiecznie w światach, jakie stwarzała dla swoich bohaterów, i zawsze trochę nie na miejscu w tym rzeczywistym świecie. Ale do Berlina jakoś pasowała.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że zatrzymała się pośrodku tłumy. Zaraz potem zauważyła, na co tak patrzy.

Książki.

Przyciągały ją, haczyk wbił się w miękkie miejsce na brzuchu, linka się naprężyła, ciągnąc ją, aż Althea znalazła się na wprost sprzedawcy, przesuając palcami po oprawionych w skórę woluminach, które leżały na wystawie.

– Ma pani doskonały gust – rzekł po angielsku mężczyzna, choć między słowami były przerwy sygnalizujące, że nie czuje się zbyt pewnie w tym języku.

– Reinmar von Hagenau – zauważyła z westchnieniem, cofając dłoni, żeby nie zostawić przypadkiem odcisków palców na tym drogocennym egzemplarzu. Von Hagenau należał do grona jej ukochanych minnesingerów, niemieckiego odpowiednika trubadurów. Tworzył w dwunastym wieku i był ceniony przez współczesnych sobie literatów, z których wszyscy poświęcali się pisaniu liryki o dworskiej miłości i honorze.

Wzrok sprzedawcy zatrzymał się dłużej na książce, tak jak rodzice patrzą na swoje nad wiek rozwinięte dzieci. Kiedy podniósł spojrzenie na Altheę, zdawał się wyczytywać z jej twarzy, że jest mu bratnią duszą.

– Za drogo, tak?

Althea uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i spróbowała odpowiedzieć po niemiecku:

– Przepraszam.

– Nie, nie. – Sprzedawca machnął ręką, zbywając jej przeprosiny, a potem przykucnął za ladą. Wyjął grubą książkę, która choć również miała twardą oprawę i wyglądała solidnie, była wyraźnie mniej zabytkowa niż ta na wystawie. Trzymając ją w obu dłoniach, podał jej.

– Dla pani.

Wzięła ją, ścierając otwartą dłonią kilka płatków śniegu, które wylądowały na okładce, i niemalże krzyknęła z radości, gdy zobaczyła tytuł. To było skromniejsze wydanie zbioru von Hagenaua.

– Ile? – zapytała, szperając w torebce w poszukiwaniu portmonetki. Na pewno cena była bardziej przystępna niż za to kolekcjonerskie wydanie, ale Althea nie wiedziała, czy miała przy sobie wystarczająco dużo pieniędzy. Wynagrodzenie, które zaproponował jej wydawca za kolejną powieść, odmieniło jej życie, choć i tak ostrożnie dysponowała tymi środkami, obawiając się, że każą jej oddać pieniądze, gdy to, co stworzy, nie będzie spełniało ich oczekiwań.

– Prezent – powiedział sprzedawca i lekko się skłonił. Poklepał się dłonią po piersi w miejscu serca, a potem wskazał na nią. – *Die Bücherfreundin*.

– Przyjaciółka książek – przetłumaczył cicho Diedrich zza jej pleców i poczuła ciężar jego dłoni na swojej kibici oraz bliskość jego torsu, tak że niemal jej dotykał, gdy nabierał powietrza.

– *Die Bücherfreundin* – powtórzyła sobie Althea. Grzeczność podpowiadała jej, żeby jednak nalegać na zapłacenie, ale koszt odrzucenia hojności sprzedawcy mógłby być znacznie wyższy niż cena tej książki.

Zamiast tego uniosła wskazujący palec, po czym zaczęła szperać w torbie, żeby wyjąć egzemplarz *Alicji w krainie czarów*, który wzięła ze sobą jako ostoję bezpieczeństwa – podobieństwo między nią a zdezorientowaną i oszołomioną Alicją lądującą w krainie czarów było tak silne, że aż pokrzepiające.

– Prezent – celowo powtórzyła, choć próbowała powiedzieć to po niemiecku, tak jak on po angielsku.

Wziął książkę z lekkim drzeniem rąk typowym dla starszych osób, uśmiechnął się, gdy tylko się zorientował, co to za tytuł, po czym przycisnął książkę do piersi, jakby ją przytulał.

Mężczyzna skinął głową w podziękowaniu i się pożegnał. Następnie zwrócił się do następnego klienta.

Althea chciała przedłużyć tę chwilę, побыć jeszcze z tym doświadczeniem, ale Diedrich już ją odciągał, więc ruszyła za nim w kierunku skraju placu, w stronę ich planów na kolację, a może także planów po kolacji, jeśli nadal będzie się zachowywać tak, jakby była główną bohaterką, a nie tylko podpierала ściany. Jeśli nadal będzie berlińską wersją Althei James.

Mimo że wydawało jej się, że jej nieporadny flirt na jarmarku był udany, kolejne próby podczas spaceru wzdłuż Sprewy, gdy szli na kolację, spęzły na niczym. Diedrich popadł w milczącą zadumę, która było nietypowa dla jego – jak jej się wydawało – naturalnej skłonności do serdecznej rozmowy. Kolacja przebiegła więc w ciszy, ponieważ ona nigdy nie opanowała sztuki prowadzenia luźnej pogawędki. Cały ten czas martwiła się i analizowała na nowo wszystko, co powiedziała, zastanawiając się, czy zrobiła coś złe.

Pomimo że międzynarodowe środowisko literackie postrzegało ją jako kogoś ważnego, tak naprawdę była prostą dziewczyną. Nawet teraz, kiedy brała udział w programie kulturalnym stworzonym po to, żeby dzięki półrocznym rezydencjom przywrócić „znanych i poważanych autorów” niemieckiego pochodzenia ich ojczyźnie, nie potrafiła powstrzymać poczucia, że jest oszustką. Nie tylko dlatego, że wciąż nie pogodziła się z myślą, że jest prawdziwą pisarką, ale również dlatego, że zawsze myślała o sobie jako o Amerykance.

Jej dziadkowie pochodzili z miejscowości pod Kolonią, a jedyne, co o nich wiedziała, to ich imiona wypisane w rodzinnej Biblii. Jej matka nigdy nie wykazywała zainteresowania swoim pochodzeniem. Była Amerykanką i nikt nie mógł powiedzieć Marcie James, że jest inaczej.

Marta zmarła młodo, Althea była zaś zbyt zajęta wychowywaniem swojego brata, żeby dużo myśleć o czymkolwiek innym niż tylko, czy wystarczy im pieniędzy w tym tygodniu na zakup cukru.

A jednak chociaż Althea wciąż nie czuła się związana z niemieckimi przodkami, propozycja przyjazdu do Berlina była zbyt kusząca, by ją odrzucić. Jej zgoda oznaczała, że dostanie bilet tam i z powrotem, stypendium, mieszkanie w dobrej części miasta i opiekuna z ramienia miejscowego uniwersytetu, który oprowadzi ją po okolicy. W zamian miała wziąć udział w politycznych i towarzyskich spotkaniach, a także poprowadzić kilka wykładów na temat *Nierozszczepionego światła*, powieści, która wyniosła ją z poziomu amatora do kategorii „znanej i szanowanej”.

Zagryzła teraz dolną wargę, przyglądając się uważnie twarzy Diedricha. Zmarszczki pomiędzy brwiami nie były głębokie i nie miał marsowej miny. A więc to nie gniew, tylko zamyślenie.

Althea miała już spróbować poprawić mu humor – choć na razie nie wiedziała jak – kiedy Diedrich najwyraźniej otrząsnął się z tego dziwnego ciężącego mu uczucia.

– Lubi pani niemiecką literaturę – powiedział z tym samym uśmiechem, jakim darzył ją na jarmarku.

Grzała się w ciepłe tego uśmiechu, widząc z ulgą, że nie straciła jego sympatii.

– Tak.

Diedrich się rozpogodził.

– Czy mogę coś zasugerować?

– Tak, proszę.

– To jedna z moich ulubionych. – Diedrich odchylił się, żeby wyjąć książkę w czerwonej oprawie z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Migoczący blask świecy na stole odbił się w połączonych literach, gdy mężczyzna wodził palcami po zużytych grzbiecie książki.

Cokolwiek to było, musiało być dla niego tak cenne, że nosił przy sobie.

Okładka była bardzo prosta, bez żadnych zdobień.

– Z chęcią usłyszałbym, co pani sądzi na jej temat.

– Oczywiście. – Althea posłała w jego stronę najlepszy uśmiech, na jaki ją było stać, a jednocześnie odczytała tytuł. *Mein Kampf*. Potrafiła czytać po niemiecku lepiej, niż mówić lub pisać, więc szybko przetłumaczyła: – Moja walka.

Diedrich skinął głową z aprobatą.

– Jestem przekonany, że będzie to dla pani fascynująca lektura.

Chociaż Althea zwykle nie gustowała w autobiografiach, była na tyle zorientowana, że skojarzyła nazwisko autora i wiedziała, że stoi na czele partii, która sfinansowała jej wyjazd do Berlina. Z uprzejmości bąknęła:

– Na pewno tak będzie.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Nowy Jork	7
1. Nowy Jork	10
2. Berlin	18
3. Nowy Jork	28
4. Paryż	37
5. Nowy Jork	48
6. Berlin.	56
7. Nowy Jork	63
8. Paryż	71
9. Nowy Jork	80
10. Berlin.	89
11. Nowy Jork	99
12. Paryż	107
13. Berlin.	116
14. Nowy Jork	123
15. Berlin	133
16. Nowy Jork	142
17. Paryż	150
18. Berlin	158
19. Paryż	170
20. Nowy Jork	175
21. Berlin.	182
22. Nowy Jork	190
23. Berlin	196
24. Nowy Jork	205

25. Paryż	215
26. Nowy Jork	222
27. Paryż	232
28. Berlin	237
29. Nowy Jork	245
30. Berlin.	252
31. Nowy Jork	259
32. Paryż	266
33. Nowy Jork	269
34. Berlin.	277
35. Nowy Jork	287
36. Paryż	296
37. Nowy Jork	302
38. Berlin	308
39. Paryż	315
40. Owls Head, Maine	320
41. Berlin	326
42. Owls Head, Maine	336
43. Paryż	344
44. Nowy Jork	351
45. Berlin	357
46. Nowy Jork	361
47. Paryż	367
48. Nowy Jork	374
49. Nowy Jork	379
50. Nowy Jork	385
51. Nowy Jork	396
52. Nowy Jork	400
Epilog. Berlin	404
 Podziękowania	 409